ROK I. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM I SZKOŁA

№ 10. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 14 kwietnia 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



Spalatto widok od strony morza.

Dr. C. BAŃKOWSKA

O JEDNOLITĄ SZKOŁĘ POWSZECHNĄ.

Hasłem pedagogiki współczesnej jest budowanie ponad sobą, to jest wychowywanie ludzi nowych, lepszych — dla lepszej przyszłości.

Nie dążymy już dziś do ukształtowania dziecka na obraz i podobieństwo nasze, tylko, przekonani, że pójdzie ono dalej, że sięgnie po wyższe szczeble rozwoju, że będzie doskonalszem, mądrzejszem, bardziej twórczem od nas — stwarzać mu chcemy odpowiednie warunki tak fizycznego, jak i psychicznego rozwoju — mając na względzie prawo jego do rozwoju bez żadnych ograniczeń.

Dom, szkoła, społeczeństwo winny zgodnie podać sobie dłonie w celu zrealizowania tej idei, umożliwienia dziecku samorozwoju do najwyższych, osiągalnych szczytów poznań, a to przez udzielanie dziecku tak pomocy materjalnej, jak i moralnej.

Tylko w czystej, pod każdym względem pogodnej, szanującej indywidualność dziecka atmosferze, wzrastać i rozwijać się ono może normalnie, tylko szczęśliwe za młodu, może pragnąć nieść korzyść i uszczęśliwiać społeczeństwo, w którem żyje. Zrozumienie tego przez dom i szkołę, przez całe społeczeństwo, podtrzymanie w tem dążeniu do samorozwoju względnie szczęścia słabej istoty, jaką jest dziecko, wydaje mi się najważniejszem, niemal wszystkiem, jeżeli chodzi o realizację hasła: Buduj ponad sobą!

Jeżeli zejdziemy na grunt realny, to wysuwane postulaty jednolitości szkoły prowadzą właśnie do realizacji tego hasła. Realizuje po części te idee Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich, utrzymując od r. 1922 pięcioklasowe gimnazjum, przyjmujące dziatwę ze szkół powszechnych i stwierdzające, że poziom tych szkół z każdym rokiem się podnosi. Również szkoły komunalne, oraz niektórzy dyrektorzy seminarjów dla nauczycieli szkół powszechnych obok Związków Nauczycieli Szkół powszechnych i Średnich szczerze przy każdej sposobności wysuwają hasło jedności szkoły.

Prawo dziecka do samorozwoju bez żadnych ograniczeń i konieczność stworzenia mu warunków po temu, zmusza logicznie myślącą i gorąco czującą część społeczeństwa, do zajęcia wobec hasła jednolitości szkoły jak najżyczliwsze stanowisko. Pomimo wypowiadania tu i owdzie na łamach pism, że nauczanie winno być powszechne, szkoła powszechna, taka jaka się nam dziś przedstawia, jest w gruncie rzeczy przeznaczona dla szerokich mas, materjalnie upośledzonych. Rodzice zamożniejsi wolą uczyć dziecko w domu i oddać je dopiero do 1-szej klasy gimnazjum, która, mając ogromną ilość zgłoszeń eksternistów nie ma już wolnych miejsc w klasie IV-ej, lub też posiada je w znikomo małej liczbie dla dzieci, pragnących, po ukończeniu szkoły powszechnej dostać się do szkoły średniej ogólnokształcącej. Przejście to ze szkoły powszechnej do średniej jest już utrudnione w 6-tym i 7-ym oddziele szkoły powszechnej, gdzie np. lekarze szkolni, odmawiając świadectwa zdrowia słabszym, bardziej anemicznym jednostkom, kierują je do szkoły zawodowej, jak gdyby to była szkoła pod względem zdrowotnym odpowiedniejsza dla dziatwy w wieku dojrzewania.

Tymczasem pod hasłem jedności szkoły rozumiemy, że szkoła powszechna 7-o klasowa, wysoko zorganizowana, winna być podbudową szkolnictwa średniego (ogólnokształcącego czy też zawodowego, stosownie do indywidualnych uzdolnień i zainteresowań dzieci). Niższe klasy szkoły średniej winny być tedy stopniowo kasowane tak, by dziecko po ukończeniu szkoły powszechnej, automatycznie, bez żadnych egzaminów i „sprawdzania kwalifikacyj", jedynie na podstawie świadectwa ukończenia szkoły powszechnej, mogło przejść do dzisiejszej IV-tej czy V-ej klasy szkoły średniej, a po jej ukończeniu do wyższych uczelni: uniwersytetu, wyższych szkół zawodowych, technicznych i t. p.

Dla dzieci, które po ukończeniu szkoły powszechnej stają przy warsztacie szkoły zawodowej, zmuszone potrzebą wczesnego zarobkowania, winna być zorganizowana, jak to się często dziś po części realizuje, nauka dokształcająca na kursach nie wieczorowych, lecz dziennych, z zaliczeniem im tej nauki do liczby godzin pracy zarobkowej, tak jak to się praktykuje w Austrji i Czechosłowacji.

d. c. n.

FR. KUBIAK

DZIECI SAMOTNE.

Kto uważnie czytał „Placówkę" B. Prusa, ten musiał zwrócić uwagę na ciekawą postać małego Staśka, syna Ślimaka, głównego bohatera powieści.

Było to dziecko niewiadomo skąd — nerwowe, wśród gromadki ludzi o stalowych nerwach. Natura wrażliwa na wszystko, co piękne i niezwykłe.

Gdy nad światem szalała straszna burza, on tułał się po domu niespokojny, gdyż czuł ból trawy bitej deszczem i drżał na myśl: jak musi być chłodno ziemi zalanej wodą! Było mu smutno i źle, szczególnie tu, gdzie nawet nikt na niego nie patrzył; czuł potrzebę zbliżenia się do kogoś, kto byłby zdolny podzielić jego smutki. Zbolały i udręczony przytulił się do matki, lecz ta, rozgniewana, że jej nie powiodło się przy obiedzie, odsunęła go od siebie. Po długiem wałęsaniu się bez celu po izbie, oparł się na kolanach ojca, lecz i ten odsunął od siebie chłopca, gdyż te czułości nie na czasie przeszkadzały mu w jego myślach nad sprawami gospodarczemi. I tak odepchnięty po kolei nawet przez brata i Magdę, wsunął się pod ławę, gdzie leżał Kurta, i choć pies był przemokły, położył na nim głowę i ogarnął go rękoma. Na nieszczęście spostrzegła to matka i wypędziła psa do sieni, a Stasiek w ludnej izbie znowu został sam, sam jeden ze swoim niepokojem.

Matka, sądząc, że Stasiek jest głodny, dała mu kawałek chleba, chłopiec wziął chleb do ręki, lecz zamiast go jeść — rozpłakał się rzewnie.

Ileż to takich samotnych dzieci moglibyśmy znaleźć nawet w dosyć licznych rodzinach?

Dziecku jest potrzebne serce, przedewszystkiem serce najbliższych; w atmosferze ciepła i miłości ono powinno wprost pławić się, gdyż to ciepło jest tem dla jego wrażliwej duszy, czem jest dobroczynne ciepło promieni słonecznych dla jego ciała.

Rodzice, często pochłonięci troskami codziennemi, zapominają, albo wprost nie chcą wiedzieć o tem, że to ich maleństwo ma swój cały świat radości, smutków i myśli, tych wewnętrznych przeżyć, któremi pragnie dzielić się ze starszymi.

Często dziecko w chwilach silnych stanów uczuciowych, albo w chwilach rozterki duchowej szuka oparcia o kogoś silniejszego i tuli się wtedy zwykle do rodziców z ciężką łzą na powiekach, lecz ileż to razy otrzymuje wówczas szturchańca, a w najlepszym razie kawałek chleba...

Pomyślmy tylko, co się dzieje z duszą takiego dziecka, gdy podobne sytuacje powtarzają się często.

Dziecko stale odpychane nigdy przed rodzicami nie otworzyło głębi swej często bogatej duszyczki, a przez to samo i rodzice tracą okazję spojrzenia w tę głębię i czytania z niej w momentach szczerych wynurzeń i zwierzeń.

Dziecko takie napewno nigdy też z serdecznym żalem nie rzuci się matce w objęcia i nie wyzna ze łzą skruchy w oku, że popełniło coś złego.

Oddziaływanie wychowawcze na dzieci, wzrastające w takiej atmosferze, jest prawie niemożliwe, gdyż dusza jego zasklepia się wtenczas w sobie, staje się ono skryte, zamknięte i nieufne, a dostęp do takiej duszy, nauczonej kroczyć samotnie, jest bardzo trudny.

Dziecko takie, jak samotna i wątła roślinka na pustem polu, albo załamuje się i ginie tragicznie, jak Stasiek Prusa, albo żyje życiem nienormalnem i karłowacieje duchowo, gdyż brak mu było ciepła i tego serdecznego oparcia.

Więc dajmy swym dzieciom jak najwięcej tej serdeczności i ciepła, niech ogrzane niem idą radośnie w życie i niech się zmniejszy zastęp tych, którzy z żalem wspominają u schyłku swego życia, że nie zaznali nigdy rozkoszy pieszczot i serdecznych uścisków swych rodziców.

JANINA STRZELECKA

NIEDOTRZYMANA OBIETNICA.

Władzia kupiła sobie kalendarzyk. Mały, kieszonkowy, za 15 groszy, bo to już dawno po Nowym Roku, to kalendarze staniały. Codziennie wykreśla czerwonym ołówkiem dnie, a w myśli to i godziny nawet, które ją dzielą od przyszłej niedzieli. Bo... Bo w przyszłą niedzielę ma iść z ojcem do kina. Na taki jeden film o zwierzętach, i murzynach, i pustyni. Pani w szkole opowiadała cuda o tem i zalecała dzieciom, które mogą iść i zobaczyć te piękności.

Władzia zaraz pomyślała, że ona pewnie już te-

raz pójdzie, bo od roku nigdzie nie była w żadną niedzielę. że czasem zabiorą ją do znajomych, czy do ciotki, to się nie liczy, bo ani tam dzieci w jej wieku niema, ani gramofonu, ani żadnej zabawy. Siedzi między starszymi i słucha rozmowy, a to o drożyźnie, a to, że węgla niema, a to że znowu był napad bandycki, lub że sąsiad ciotki pobił żonę i chce ją z domu wyrzucić, bo ma tam jedną. Władzia słucha tego wszystkiego, albo nie słucha, w zależności czy ma dużo „swoich myśli".

Ale zresztą nudzi się zawsze okropnie.

To też, kiedy teraz w całej klasie zaczęli mówić o tem kinie, dziewczynka ledwie do domu weszła, wyrzuciła z siebie jednym tchem swoją prośbę, a że ojciec był akurat w dobrym humorze, to powiedział, że pójdzie z nią.

Do niedzieli jeszcze cztery dni. O, to bardzo długo. Władzia, jak tylko odrobi lekcje, zaczyna sobie myśleć jak to już będzie, gdy nadejdzie niedziela. Rano poleży dłużej w łóżku, potem na śniadanie będzie placek (taki zwyczajny domowy, ale lepszy od chleba), potem włoży tę granatową z tasiemkami sukienkę i pójdzie do kościoła. Jakoś do obiadu zejdzie. A o czwartej.... I już dzisiaj bije mocniej Władzine serduszko. Tak się cieszy, tak cieszy! Przecie to niedzielne popołudnie to najgorsze chyba. Niezawsze ma książkę do czytania, a zresztą tak kilka godzin czytać, to się znudzi. Izbę mają dużą wprawdzie, ale jedną, to żadnych dzieci nie może do siebie zaprosić, bo albo do rodziców ktoś przyjdzie, albo ojciec śpi, to nie można się bawić. Cyka popstrzony przez muchy zegar, wybija godziny, Władzi aż oczy łzami zachodzą, tak ziewa. Mówi wtedy, że jej tak nudno, że aż „kwaśno". Nawet przez okno nie warto wyjrzeć, bo mieszkają na pustej, odległej ulicy.

Czasem dorożka, albo samochód zawarczy, a najczęściej to usłyszeć można jakieś zachrypnięte głosy. Śpiewają Dolores, albo Bubliczki. Och ta niedziela!

Ale ta najbliższa to będzie całkiem inna. Władzia jest przez te parę dni wesoła i jak sama o sobie mówi: „dobra". Łatwiej idzie odrabianie lekcji. Zawsze, tak bywa, kiedy się zdarzy coś przyjemnego, co przerywa nić szarych powszednich dni. Jest się na co cieszyć, a potem jest co sobie przypominać.

Nadszedł ważny dzień. Wszystko jest dziś ładne: i zadymione ściany i odrapane kafle pieca i komoda bez jednej nogi i oleodruk z dziurą z lewej strony. Schodzi czas, jak zwykle do obiadu. Zaraz po obiedzie ojciec wyszedł, bo miał się tam z jednym spotkać, ale kazał Władzi być już ubraną na czwartą, bo on napewno wróci, pojadą tramwajem i zdążą w sam czas do kina.

Za kwadrans, za dziesięć munut, za pięć już tata wróci. Bije czwarta. Bardzo jakoś długo bije dzisiaj. Władzia siedzi przy oknie. Odchuchała na zamarzłej szybie „trochę miejsca" aby widzieć ulicę t. j. żeby zobaczyć, jak będzie szedł ojciec. W oczach dziecka jest teraz cała dusza. Aha idzie ktoś, prędko, śpieszy się, to napewno on. Nie, minął bramę. Znowu ktoś... Także nie. Władzia spogląda na zegar. Już kwadrans na piątą. Ale może zegar się śpieszy, przecież tata obiecał, przecież to ona, Władzia, już od tylu dni na tę chwilę czeka. Dziecko odchodzi od okna. Trzęsie się cała, nie może, nie umie wystawić sobie nawet, że nie pójdzie z ojcem. Jest sama, bo matka poszła do sąsiadów na czwarte piętro. Mija pół godziny, mija godzina. Bije piąta.

Władzia zdejmuje szubkę i czapkę i rękawiczki. Wie już, że ojciec nie wróci. Zapala lampę, knot od lampy nieoprawiony, światło drga tak dziwnie.

Mała okrywa się kocem, siada na łóżku i zatapia się w tę niedzielną, tak dobrze znaną, ciężką zadumę. Jest teraz bardzo zmęczona. Całogodzinne czekanie zbiło ją znóg zupełnie. Przymyka oczy i przez zmrużone powieki patrzy na przeciwległą ścianę, na której od drgającego światła lampy, takie się dziwne cienie kładą.

Władzi zdaje się, że to zwierzęta, lwy, pantery, tygrysy, które miała dziś zobaczyć w kinie. Są i murzyni i wielkie palmy, są drzewa bananowe, są okręty na morzu....

Władzia zapada w półsen. Ślicznie w tem kinie gra muzyka, jest ciepło, a jak coś wesołego, to cała sala aż trzęsie się od śmiechu.

Dziecko zasypia na dobre. O którejś tam godzinie wchodzi matka.

— No co, wróciliście już? A jak tam było w kinie?

Władzia budzi się, patrzy na matkę nieprzytomnie, a potem zaczyna płakać, nie można jej utulić. Ze ściśniętego gardła wydobywają się wreszcie słowa: „Nie bylim nigdzie, tata nie przyszedł".

Z ZAGRZEBIA DO MOSTARU

Był ciepły słoneczny poranek. Resztki śniegu topniały w miejscach zacienionych, a woda wartkiemi strumieniami płynął w rynsztokach. Szedłem na stację i spozierałem radośnie na ulice Zagrzebia, błyszczące wilgocią w promieniach słonecznych.

Na „Jelacicev'ym trgu" (placu) rojno było, gwarno, kolorowo. Bukiety barwnych strojów chorwackich kraśnemi plamami pstrzyły się wśród wozów, wózków, kramów, koszów i koszyków.

Miejskie panie i paniusie kręciły się tu i tam, niby szare myszy wśród kwiatów... Parskały konie,



Typ kobiety z Jugosławji.

wykrzykiwały przekupki, niosły się z oddali wesołe głosy sygnaturek.

Na stacji srogi żandarm z czerwoną patką na kołnierzu, karabinem, zawieszonym na przedramieniu i z podpinką „po angielsku", zapiętą na brodzie, spojrzał ostro w oczy i rzekł:

— Molim pasosz, gospodine!

Ach prawda! Wszak jestem w srogim, „samodzierżawnym" państwie króla Aleksandra!

Lecz żandarm rozpogodził się na widok mego paszportu.

— Vyste poljak! — zawołał poufale, klepiąc



Typy kobiety i mężczyzny z Jugosławji.

mnie po ramieniu i osobiście przeprowadził na peron w dowód wielkiej sympatji.

W wagonie jechałem z jakimś eks-kapitanem piechoty włoskiej.

— Ach, panie! — wykrzykiwał on kiepską francuszczyzną — uważają tu nas włochów, za wrogów, lecz ja jestem zachwycony! Naród jednoczący się po tylu wiekach niewoli, pracujący wspólnie nad wielkiem dziełem kultury, mimo różnic religji, zwyczajów, poglądów, czyż to nie widok godny podziwu!

Nic nie odrzekłem italijskiemu entuzjaście. Za-



Dolina rzeki Narenty.



Typy ludowe z Jugosławji.

patrzyłem się w okno i zadumałem o swojej dalekiej, północnej ojczyźnie, gdzie jeszcze śnieg leży na polach i lód skuwa rzeki i jeziora.

Tak się złożyło, że z miłym włochem przejechaliśmy całą Bośnię, mieszkaliśmy w jednym numerze hotelowym w Serajewie i razem wyjechaliśmy do Dubrownika wązkotorową koleją Brod — Serajewo — Metkowic, Dubrownik (Raguza)...

Dwie lokomotywy ciągnęły, sapiąc i dysząc, mały pociążek złożony z wagoników, niby dziecinne zabawki. Tor wił się wśród gór, wśród gajów śliwowych, lasków i skał. Co chwila zjeżdżaliśmy po ostrych spadkach, lub pięliśmy się pod górę. Góry stawały się coraz dziksze, krajobraz coraz bardziej ponury.

Na stacjach orlonose wyrostki sprzedawały suszone śliwki, placuszki i wodę.

Obszerne, granatowe szarawary plątały im się między nogami, a szerokie, barwne pasy i niemniej jaskrawe fezy jakoś dziwnie nie pasowały do urządzeń kolejowych, czarnych surutów i nowoczesnych mundurów żandarmerji.

Ha! żandarmerji! Chyba dotąd nigdzie nie widziałem tyle policji, co w państwie S. H. S. (Syrba, Hrvata i Slovenca). Na każdej stacji węzłowej wchodził żandarm z dwoma cywilnemi urzędnikami policji, stawał na „baczność“, salutował i stentorowym głosem wołał:

— Molim pasosze!

Zniecierpliwiło to nawet włoskiego kapitana, więc zachwyt jego malał z każdym kilometrem.

Lecz niebawem obaj wpadliśmy w zachwyt nanowo i nic już nas nie mogło z tego stanu wyprowadzić. O ile ludzie bardzo często bywają nieznośni i psują sobie życie z umiejętnością godną lepszej sprawy, o tyle przyroda pozostaje zawsze jednako wspaniała, surowa, piękna.

Na jednym z przystanków, doczepiono do naszego pociągu jeszcze lokomotywę z uchwytem na zęby i po zębatym torze wspięliśmy się na wysokie „Przejście Iwana“, a przebywszy pierś góry przez „tunel Iwana“ znaleźliśmy się w dolinie Narenty, w Hercegowinie.

Z dwóch stron toru kolejowego wznosiły się prostopadłe ściany fantastycznych ścian Karstu. W dole rzeka błyszczała w słońcu wszystkiemi kolorami tęczy, pieniąc się i nurząc, tworząc wodospady, wiry, kipiele, omijając skały, kamienie i upłazy.

Długa linja szyn przeskakiwała z brzegu na



Widok Dubrownika (Raguzy)

brzeg po fantastycznych mostach, wrzynała się tunelami w skały, tuliła do grani i obrywisk.

Biało różowe wapienie Karstu biły w oczy gamą barw i odcieni, a za każdym zakrętem ukazywał się obraz coraz to inny, coraz fantastyczniejszy.

Pełno krzewów i drzew pokręconych wyrastało kępami nad bystrzyną wody, a srebrne siklawy grzmiały dźwięcznie z pod podniebnych wyży.

Nakoniec pociąg wyhynął z wąwozu Narenty i wydostał się na pustynne, białe pola Mostaru.

Nie odchodziliśmy od okien, a gdy wagon stanął w Mostarze, wykrzykiwaliśmy, jak małe dzieci w podziwie, ciesząc się z białych strojów hercogowińczyków z Popowe'go Polja.

— Nigdy nie uwierzyłbym, że to Europa! — zawołałem.

— Molim pasosze — rzekł żandarm, wchodząc do przedziału.

Włoch roześmiał się.

— A przecie słyszy pan, że jednak Europa! — zauważył złośliwie.

Bogdan Pawłowicz.

TADEUSZ RADLIŃSKI

O WYMIERANIU WSI WE FRANCJI.

Gdy się przejeżdża przez polską wieś, przedewszystkiem rzuca się w oczy moc dzieci. Wszędzie ich pełno: przy chatach, pod opłotkami, na polu, na wygonie i... w kałużach błota — wszędzie.

To też oczy nasze do tego widoku przyzwyczajone, przykro bardzo uderza wygląd wsi francuskiej: zupełny brak dzieci. Brak wesołości, szczebiotu dziecięcego, małych pastuszków — brak przyszłych ludzi. I rzeczywiście wymieranie, a raczej nie rozrastanie się wsi, jest bardzo poważną troską rządu i społeczeństwa francuskiego, bo dzięki brakowi urodzeń ilość francuzów rokrocznie się zmniejsza, podczas gdy ilość sąsiadów rośnie szybko. Tak np. w okresie wojen Napoleońskich, Francja przewyższała znacznie ilością swej ludności (26 miljonów) Anglję (16 miljonów). Po stu latach jednak Francji przybyła zaledwie połowa tej sumy (13 miljonów) i ludność wynosiła przed wojną 39 miljonów, podczas gdy w Anglji przez ciąg 100 mniejwięcej lat ludność się potroiła.

Podobne zjawisko widzimy w Niemczech i w Italji tak, że Francja przypomina drzewo, górujące niegdyś nad otoczeniem, obecnie jednak zagłuszone przez rosnących znacznie szybciej sąsiadów. A teraz trochę cyfr. Najlepiej wytłumaczą one sytuację.

Z zestawienia spisu ludności dawniejszego ze spisem ludności z roku 1926 okazuje się, że gdyby nie przyłączenie po wojnie dosyć znacznego obszaru Alzacji i Lotaryngji, które Francja odebrała od Niemców teraz, straciwszy je w 1870 roku po przegranej wtedy wojnie, to ludność Francji zmniejszyłaby się faktycznie, a więc tylko proporcjonalnie do wzrostu ludności innych państw, ją otaczających! Wyludnienie szczególniej dotyka obszarów wiejskich Francji centralnej i południowo-zachodniej. 75 lat temu ludność miejska we Francji stanowiła ¾ zaludnienia kraju, teraz zaś stanowi mniej niż połowę (48%). Niektóre departamenty (powiaty) Francji środkowej w ciągu ostatnich lat 20 straciły piątą część swego zaludnienia! W jednym z nich (departament Gers) w ciągu

ostatnich lat 15 ubyło 18 tysięcy rolników, 50 tysięcy hektarów ziemi uprawnej leży odłogiem (1 hektar = 1,8 morga), a półtora tysiąca ferm porzucono poprostu na los szczęścia! Całe fermy stoją puste, jakby wymarłe po jakiejś epidemji. Można je kupić za bezcen! Dlaczego tak? Skąd tak straszna ruina wsi francuskiej?

Oto rolnik francuski chce żyć wygodnie, nie chce więc mieć dzieci i złączonych z ich posiadaniem kłopotów i wydatków. Kobiety zaś nie chcą znosić bólów i trudów macierzyństwa oraz kłopotów z wychowywaniem dzieci związanych, wolą zapobiegać ich przyjściu na świat i żyć spokojnie i wesoło. Zjawisko to, zresztą, daje się zauważyć wszędzie, gdzie jest wyższy cokolwiek stopień kultury. To też liczba urodzeń w mieście bywa zwykle niższą niż liczba śmierci, dlatego też zaludnienie miast powiększa się zazwyczaj nie przez przyrost naturalny, a przez imigrację.

Jakiż rezultat jest tej ogólnej niechęci do posiadania dzieci u rolnika francuskiego? Ten, że brak mu tanich rąk roboczych przy robotach rolnych, ogrodniczych i hodowlanych, a najmowanie sił pomocniczych się nie opłaca. Gospodarstwo więc bankrutuje, a właściciel często zostawia go na los szczęścia (brak nabywców) i emigruje do miasta, gdzie życie jest weselsze, milsze, jest szynk i kino, i tam powiększa ilość proletarjatu miejskiego, szukając dorywczych zarobków lub zakładając sklepiki i drobne przedsiębiorstwa. A wieś pustoszeje!

Przy tej samej ogólnej gęstości zaludnienia we Francji i w Polsce (75 ludzi na jeden kilometr kwadratowy) wieś francuska jest zupełnie opustoszałą. Uderza tu brak tych hałaśliwych band dzieci, które u nas nadają charakter wesołości wsi naszej. Ale też w Polsce przybywa rocznie koło 400 tysięcy ludzi, głównie wśród ludności wiejskiej, tak że co lat 50 mniejwięcej, ludność nasza się podwaja, a we Francji ludności ubywa i społeczeństwo francuskie nie wie, jak ma temu zaradzić. Pożądaną może byłaby emigracja polskiego rolnika do Francji, ale o tem pomówimy może innym razem.

IG. SMOSARSKI (Opiekun główny) pub. szk. pow. Nr. 40.

JAK ZORGANIZOWALIŚMY OPIEKĘ SZKOLNĄ?

Rok szkolny 1926/27. W roku tym nastąpiło połączenie szkoły rannej Nr. 40 ze szkołą popołudniową Nr. 169. Rok szkolny zamknięto kwotą 3779,85 złotych, na którą złożyły się następujące pozycje:

pozostałość z roku 1925/26	183,18 zł.
składki rodziców	2.325,50 „
składki nadzwyczajne	29,09 „
fyndusz wycieczkowy	176,00 „
fundusz na roboty	282,75 „
dochód z koncertu	351,49 „
różne	13,99 „
przekazane przez szkołę popołudn.	417,90 „
Razem	3,779,90 zł.
wydatki	3,195,34 „
pozostałość	584,66 „

W roku tym wobec odmowy Magistratu opłaty za telefon szkolny, Opieka musiała pokryć należność za telefon zł. 385 gr. 32; dopłacono na kolonje letnie zł. 740 gr. 00; na wycieczkę szkolną zł. 269 gr. 32; na wycieczkę oddz. VII do Krakowa, Zakopanego i Wieliczki zł. 727 gr. 49; na inwentarz zł. 291 gr. 20.

Rok szkolny 1927/28 zamknięto kwotą złotych 460491,29, na którą złożyły się następujące pozycje:

pozostałość z roku 1926/27	584,66 zł.
składki rodziców	3,141,59 „
fundusz na roboty	168,38 „
dochód z koncertu	384,00 „
fundusz depozytowy	140,00 „
ofiara	10,00 „
różne	175,81 „
Razem	4.604,29 zł.
wydatki	3.765,58 „
pozostałość	838,71 „

Ważniejsze wydatki wynosiły: dopłata na kolonje letnie zł. 805 gr. 00; zapomoga na wycieczkę oddz. VII do Krakowa, Zakopanego i Wieliczki zł. 719 gr. 00, na wycieczki szkolne zł. 200 gr. 98; za telefon zł. 384; na pomoce naukowe zł. 667 gr. 03.

Pod koniec roku szkolnego rozpoczęto urządzanie pracowni fizycznej.

Jak widać z przytoczonych krótkich sprawozdań za okres sześcioletni Opieka musiała przychodzić stale z pomocą szkole, asygnując fundusze na pomoce naukowe, jak przyrządy fizyczne, abecadła ruchome, wzory do rysunków prof. Noakowskiego, licznicę stojącą, mapy, tablice poglądowe, szafki bibljoteczne, szafy, za telefon i t. p.

Wskutek powyższego Opieka Szkolna nie mogła rozwinąć szerszej działalności, celem spełnienia głównego swego zadania, t. j. pomoc biednym dzieciom.

Działalność Opieki w znacznym stopniu utrudnia również obojętność rodziców, czy to przez małe uświadomienie społeczne, czy też uważając, że oddawszy dziecko do szkoły, spełnili swój obowiązek, dalej niech szkoła wychowuje.

Cała praca Opieki polega na dwu, trzech członkach Zarządu i życzliwej, oddanej współpracy personelu nauczycielskiego. Opiekunowie klasowi nie przychodzą nawet na zebrania Opieki Szkolnej.

Odmawianie zastępstw za chory personel nauczycielski nie przyczynia się do osiągnięcia zakreślonego zakresu nauczania, w razie zachorowania 2 lub 3 osób jednocześnie, pozostały personel nie jest w stanie podołać zadaniu, następują przerwy w lekcjach, a fundusze Opieki nie pozwalają na opłacanie zastępstw.

Ciasny lokal szkolny, w domu prywatnym, na 4 piętrze, nie daje możności urządzenia świetlicy.

Ogłaszając zarys swej skromnej działalności, Opieka ma nadzieję, że i inne Opieki zechcą dać krótkie opisy swej działalności, z których niejedno grono ludzi chętnych do pracy na polu społecznem, może otrzymać wskazówki jak się należy organizować i pracować dla dobra przyszłych pokoleń. Takie publiczne ogłaszanie sprawozdań powinno spowodować zainteresowanie ogółu rodziców i przekonać ich, że Opieki Szkolne pracują z pożytkiem dla młodego pokolenia.

GŁOS CZŁONKA OPIEKI SZKOLNEJ.

Podając niżej krótką wzmiankę dotyczącą lekceważenia przez rodziców Zebrań klasowych Publicznych Szkół Powszechnych, do których to uczęszczają ich dzieci, pragnę za pośrednictwem Szan. Redakcji Tygodnika Ilustrowanego „Świat, Dom i Szkoła“ umieścić niniejszą, celem zaznajomienia zainteresowanych o faktycznym stanie rzeczy tych zebrań i otwarcia dyskusji przez czytelników wspomnianego tygodnika na powyższy temat.

Jednym z najważniejszych warunków, które decydują o dobrych postępach ucznia w szkole jest, obok chęci i zdolności, jego regularne uczęszczanie do szkoły, ograniczające do minimum przerwy w nauce, w związku z tem jest konieczne porozumiewanie się wychowawcy z jednej, a rodzicami z drugiej strony.

Porozumiewanie to, a raczej współpraca, winna się odbywać przez ciągłe i akuratne przychodzenie rodziców na zebrania klasowe, zwoływane przez Opiekę Szkolną. Zebrania te mają na celu informowanie rodziców o postępach nauki w szkole, wykazanie ujemnych stron ucznia i t. d.

W tym jedynie celu Opieka Szkolna zwołuje Zebrania Klasowe, przypadające najczęściej w dni świąteczne albo w godzinach wieczornych dni powszednich, a zatem w czasie wolnym.

Jednak, uczęszczając na zebrania klasowe jako członek Opieki Szkolnej, zaobserwowałem z przykrością, iż zaledwie 25% rodziców jest obecnych na tego rodzaju zebraniach, a w najlepszych razach liczba ich sięga do 50%, i to pomimo specjalnie w tym celu rozsyłanych do nich zawiadomień. Zjawisko to świadczy o jawnem lekceważeniu swoich obowiązków względem swych dzieci.

Sądzę, że ze względu na obowiązujący u nas przymus nauczania i z tego powodu odpowiedzialności, jaka spada na rodziców, Opieka Szkolna w porozumieniu z Nauczycielstwem — winna mieć prawo zmuszania wszystkich rodziców, także pod odpowiedzialnością sądową, do bezwzględnego przychodzenia na zebrania klasowe. Przecież członkowie tych zebrań, t. j. rodzice i nauczyciele, winni zawsze dążyć, ażeby to młode pokolenie wychować na pożytecznych Obywateli Kraju.

Głos decydujący w tej sprawie posiada Główna Rada Szkolna.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Członek opieki przy Szkole Pow. Nr. 4

S. J. D.

MARJA WYSZNACKA

„ZA POLSKĘ I LUD"

SZYMON KONARSKI



„Knut króluje nad brzegami Newy i Wisły. Krew, łzy, pot użyźniają ziemię, gdzie powinna panować swoboda. Musi runąć barbarzyńska władza, gruntująca potęgę na niewoli i ciemnocie".

Tak myśleli i pisali ci, którzy po nieudanem powstaniu 1831 r. nie stracili nadziei w przyszłość, lecz powędrowali w świat, aby na ziemiach wolnych ludów zachodu wykuwać ideową broń do walk następnych.

„Knut króluje nad brzegami Newy i Wisły". To samowładztwo groźnego cara, pana życia i śmierci ludów poddanych, to krew polskich powstańców i rosyjskich rewolucjonistów, to łzy i pot ciemiężonego bezkarnie niewolnego chłopa....

Lecz oto tam na Zachodzie wzbiera olbrzymi potok dążeń do wolności, organizuje się Młoda Europa.

W Szwajcarji w 1834 r. organizuje się Młoda Polska.

Ten rączy potok porywa za sobą wszystko co szlachetne, idzie burzyć niewolę, budować gmach powszechnego szczęścia... „Bez równości niema wolności, bo tam, gdzie jednym nie wolno czynić tego, co drudzy czynić mogą, musi być z jednej strony niewola, z drugiej despotyzm, a w całem społeczeństwie anarchja". Jeżeli wolność gdziekolwiek pogwałcona została, to w pierwszej mierze w Polsce, tu bowiem nie jednostki, nie jedna klasa społeczna, lecz cały naród nosi pęta niewoli.

Więc pierwszem hasłem Młodej Polski będzie oswobodzenie ojczyzny.

Lecz jest i troska druga: „odrodzona, niepodległa Polska demokratyczną będzie... Kto kocha pewne tylko klasy społeczne jest złym synem ojczyzny... prawdziwy demokrata chce Polskę w ten sposób urządzić, iżby lub wpośród niej był szczęśliwy..."

Takie i inne podobne hasła czytamy w czasopiśmie „Północ", wychodzącem w Paryżu w 1835 r.

W redakcji tego czasopisma widzimy pięknego, jasnowłosego młodzieńca, o natchnionym wyrazie twarzy, poetę i marzyciela, apostoła i ofiarnika.

To były oficer powstania, obecny współpracownik „Północy" — Szymon Konarski.

Przed rozmarzone oczy młodzieńca jawi się cudna wizja, łącząca walkę o niepodległość z wielkiem przeobrażeniem społecznem w duchu braterstwa.

„Porównają się różnice społeczne, majątek pojedyńczy stanie się skarbem publicznym, cała ludzkość zamieni się w braci-żołnierzy..."

Gorąca wyobraźnia porwie młodzieńca od redakcyjnego stołu, poniesie go do czynu, do kraju.

Tu przenieść trzeba wyhodowane na emigracji ziarno, tu posiać je w sercach, przekuć wolę do czynu, budzić pragnienie wolności.

Od wsi do wsi powędruje pieszo w roli wędrownego zegarmistrza dla zmylenia pozorów — on, emisarjusz wielkiej idei. Dociera do Krakowa. Tu organizuje „Stowarzyszenie Ludu Polskiego", ognisko konspiracyjne, za którem powstaną takież na terenie Galicji i zaboru rosyjskiego. Znajdzie się w ruchu tym miejsce i dla ludności żydowskiej, którą „Północ" nazwała wszak po raz pierwszy „Polakami wyznania mojżeszowego". Ruch ten obudzi żywy odzew w szeregach kobiet. Powstanie pierwsza organizacja kobieca o charakterze niepodległościowym „Towarzystwo Kobiece" z Ewą Felińską na czele.

I oto dokonywa się cud: powstaje wielka armja bez śmiercionośnej broni, armja „żołnierzy równości". Dokonywać się zaczyna wielkie pjrzeobrażenie pojęć i serc, a pod ciosami nowej propagandy wali się stary porządek świata, a świta dzień nowy, dzień, w którym: „jeden jest władca — Lud, jedyny rządca — Ludu Prawo".

Kiedyż wybije dnia tego południe?... Promieniowanie tej działalności idzie na Czechy, Morawy, budzi polskość na Śląsku, dociera do Królestwa.

W r. 1836 Szymon Konarski udaje się na Wołyń. Budzi się Kijów, echem odpowiada Odessa... A potem Grodzieńskie, a potem Wileńszczyzna. Wszędzie organizuje się filje Stowarzyszenia Ludu Polskiego.

...Piękny, jasnowłosy młodzieńcze, dokąd pędzi cię chyżość twego lotu? Czy zapatrzony w jasne słońce swych idei, nie dostrzegasz wrogich mocy, które już zmobilizowały się przeciw Tobie? Czyś zapomniał, że „knut króluje nad brzegami Newy i Wisły?“ Czy nie widzisz rąk policyjnych drabów, które wyciągają się już po twoją wolność? Czy może więcej cenisz swą pracę niż własne bezpieczeństwo?

Na ziemi nastał maj, a tobie zdaje się może, że to już wiosna polskiej doli? Wszakże ci to dopiero rok 1838!....

...Więzienie w Wilnie. Za stołem okrutny, gwałtowny kniaź Trubeckoj. Na twoich rękach kajdany... Straszliwe śledztwo... Krew ścina się w żyłach na słowo: tortury!

Jakaż szkoda, że nie powiesz nam już, co bardziej boli, czy na żywe, pokrajane ciało lanie gorącego laku i zapalonego spirytusu, czy wbijanie gwoździ za paznogcie, czy ciężkie razy kijów, czy może najbardziej świadomość bezsilnej kapitulacji Ducha przed brutalną przemocą? Co daje ci siłę, że mimo takich tortur nie pozwolisz wymusić z siebie żadnego zeznania, że nie wydasz ani jednego nazwiska, aż zdumiony twój własny kat nada ci miano „żelaznego człowieka“. Tyś milczał — a inni wydali... Widocznie byli słabsi... nie każdy może zdobyć wieniec męczennika... Ty zdobyłeś.....

. . . .

27 lutego 1839 r. Szymon Konarski został rozstrzelany w Wilnie na Pohulance, a miejsce jego stracenia stało się celem patrjotycznych pielgrzymek...

. . . .

A w wiele lat potem, kiedy dojrzała już sprawa reformy chłopskiej w tem samem Wilnie dał świadectwo prawdzie cesarz Aleksander, mówiąc: „Wam to będzie obowiązana cała Rosja włościan swobodę, niewolnictwa zniesienie“.

. . . .

Nic tak nie użyźnia ziemi, jak wsiąkająca w nią krew męczenników. Na ziemi takiej wzrasta zdrowe ziarno i wydaje piękne plony. A czasem, w okresy głuchej ciszy, znajdują się ludzie, którzy wsłuchując się uważnie w głosy swej ziemi, potrafią usłyszeć wołanie tej krwi ofiarnej i potrafią dla wołania tego zbudzić echo.

Tak buduje się przyszłość.

Z TEATRÓW.

Robotniczy teatr „Ateneum“ (Czerwonego Krzyża 20) wystawia obecnie sztukę jednego z największych współczesnych pisarzy francuskich *Romain Rollanda*, dramat p. t. *„Wilki“*. Dramat ten jest jednym z cyklu dramatów osnutych na tle wydarzeń rewolucji francuskiej.

Sztuka to niezmiernie ciekawa, trzymająca widza w nieustannem napięciu, mimo że pozbawiona jest zupełnie wątku romansowego, stanowiącego zazwyczaj treść utworów scenicznych. Pomyśleć tylko — sztuka bez jednej roli kobiecej! Przecież to rzecz zupełnie wyjątkowa.

Sztuce tej nadaje wartość przedewszystkiem głębokie zagadnienie postawione przez autora. Zagadnienie to brzmi — co należy wyżej stawiać — dobro ojczyzny czy prawdę, sprawiedliwość, nakaz sumienia? Czy dla dobra „sprawy narodowej“ wolno deptać prawdę, gwałcić sprawiedliwość, być głuchym na głos sumienia? Czy dla dobra zbiorowości należy poświęcić niewinną jednostkę?

W obozie armji rewolucyjnej, broniącej bohatersko Francji przed najazdem wrogów, wśród oficerów pełnych poświęcenia dla sprawy znajduje się generał arystokrata, który walczy po stronie rewolucji. Jest on znienawidzony przez wszystkich oficerów przedewszystkiem jako arystokrata, znienawidzony za pobłażliwy, ironiczny uśmiech, za którym kryło się jego poczucie wyższości. Nienawidzą go zwłaszcza dwaj oficerowie: dawny rzeźnik, Verrat, i człowiek nauki, Teulier.

Arystokrata, posądzony o zdradę na rzecz Prusaków, zostaje skazany na śmierć. Teulier jednak zdołał ustalić dowody jego niewinności. Te dowody rzeczowe niszczy Verrat, chcąc zgubić znienawidzonego arystokratę. Aby go uratować, Teulier musi zdemaskować podłość Verrata. A Verrat tymczasem wygrał bitwę, zdobył z niesłychanem bohaterstwem wyspy obsadzone przez Prusaków, jest bożyszczem żołnierzy i tłumu. Jest tym, który potrafi żołnierzy prowadzić do zwycięstwa, bardziej niż ktokolwiek inny jest potrzebny w tej chwili do sprawy, której wszyscy służą.

Przewodniczący sądu, w którego ręku leży możliwość rozstrzygnięcia tej sprawy, zdając sobie sprawę z niewinności oskarżonego, z podłości Verrata, podpisuje jednak wyrok śmierci na niewinnego, ulega opinji tłumu. Teulier jeden pozostaje osamotniony w obronie prawdy i sprawiedliwości, które stawia wyżej nad dobro kraju, dla którego krew przelewa.

Głębokie i niepokojące pytanie budzi dramat w sumieniach widzów. Która z dwóch zobrazowanych racyj jest słuszna, czy racja przewodniczącego, poświęcającego sprawiedliwość dla zwycięstwa sprawy, czy racja Teulier, w którego oczach nic nie może usprawiedliwić fałszu, który domaga się sprawiedliwości bezwzględnej: niezależnie od sytuacji niewinny musi być wolny od zarzutów; winny, chociaż jest bohaterem, musi ponieść karę.

Przez podniesienie tego zagadnienia, przez narzucenie widzowi konieczności rozwiązania go, Rolland zmusza do współ-

działania w tworzeniu nowej moralności, moralności świata pracy. Dlatego należy uważać za bardzo dodatni objaw fakt że sztuka ta została wystawiona i to w teatrze robotniczym.

Reżyserja, gra i dekoracje poprawne. Całość sprawia silne i długotrwałe wrażenie.

Cz. Wojeńska.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Tydzień świąteczny jeszcze raz wykazał, że nic się nie zmieniło, że tradycja w ujemnych swoich przejawach czynniejsza jest, niż wszelkie perswazje, niż głos rosądku, niż zarządzenia czynników stojących na straży ładu i porządku. Znowu jak zwykle, jak co roku, zwiększona ilość „zasłabnięć“, zwiększona ilość wypadków, w związku z nadużyciem alkoholu, ze świątecznemi „libacjami“; Znowu pogotowie pracowało ze zdwojoną siłą.

Kiedyż nareszcie nauczymy się bawić kulturalnie?

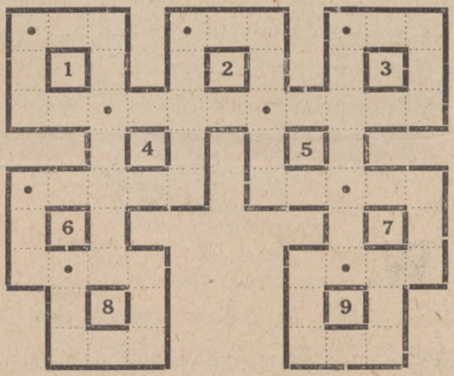
Mimo ostrych zarządzeń policji niezaprzestano wiwatowej strzelaniny. I w tym wypadku tradycja okazała się silniejszą, niż obawa kary. Notowane w gazetach poranienia od petardowych strzałów nie obejmują zapewne wszystkich wypadków. Byłby już czas najwyższy, by rodzice umieli wychowywać dzieci w poszanowaniu tylko tego z tradycji, co istotnie zasługuje na szacunek, a nie tego co jest dziwactwem i barbarzyństwem.

Tydzień świąteczny przyniósł też niemiłą niespodziankę prima-aprilisową, w postaci nawrotu zimy, gdy wszyscy z takim utęsknieniem oczekiwaliśmy słońca, ciepła, pogody — wiosny! Pocieszajmy się, że to już nie na długo.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. WIRÓWKA Uł. p. A. Czyżewski.

Znaleźć 9 ośmioliterowych wyrazów czytanych wirowo w kierunku wskazówki zegarowej. Początek wyrazów oznaczony punktami.



Znaczenie wyrazów.

1. Zwierzę afrykańskie. 2. Cesarz francuski. 3. Miasto w Japonji. 4. Król Sparty. 5. Zupa cytrynowa. 6. Poeta polski. 7. Imię żeńskie. 8. Ptak. 9. Rodzaj palta.

Nr. 2. KRZYŻ MAGICZNY uł. p. A. Janas.

			A	A	A			
			A	A	B			
			C	C	D			
D	I	I	I	I	I	I	K	K
K	K	K	K	K	K	L	L	Ł
Ł	N	N	O	O	P	P	R	R
			S	S	S			
			U	U	W			
			W	Y	Y			

Poprzestawiać litery tak, aby powstały trzy wyrazy, czytane jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów.

1. Polski mąż stanu.
2. Dawna ciężka armata.
3. Mały kwadrat.

Za trafne rozwiązanie obydwóch zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe“ przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

Rozwiązanie zadań z Nr. 6:

Nr. 1. WIRÓWKA

L	E	W		Ł	O	K
A	[1]	K		D	[2]	R
J	N	O	B	I	P	O
		Z	[3]	E		
K	A	C	A	R	O	D
W	[4]	Z		B	[5]	A
Ó	P	O		A	K	W

Nr. 2. KRZYŻÓWKA

■	R	E	W	E	L	■
K	■	L	E	N	■	O
O	B	■	N	■	A	S
W	A	R	E	C	K	A
A	R	■	C	■	O	D
L	■	U	J	O	■	A
■	F	R	A	N	T	■

Trafne rozwiązania zadań w terminie oznaczonym nadesłali pp. Bondorowski Jerzy w/m. Chodorowiczowa Teresa w/m. Czyżewski Aleksander w/m. Gołębiowski Czesław w/m. Jarmulski Saturnin Modlin. Kozłowski Czesław w/m. inż Landau Jan w/m. Rosen Marceli w/m. Tietz Zygmunt w/m.

Nagrody wylosowali:

1. p. Zygmunt Tietz w/m. 2. p. Teresa Chodorowiczowa w/m. 3. p. Czesław Kozłowski.

Nagrody rozsyłamy pocztą.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47